

ALBA

Poznaliśmy się w piękny, deszczowy dzień. Po prostu weszła pod mój parasol i już została. Pachniała lawendą i czymś tam jeszcze, bliżej nieokreślonym. W domu zrobiłem kolację. Pałaszowała aż miło. I milczała. Na szyi miała czerwoną apaszkę i takąż kokardkę na głowie. Była młodziutka, ale sprawiała wrażenie re-zolutnej i bystrej. Gdy pojadła, obejrzała wszystkie kąty w mieszkaniu i widać lustracja wypadła pozytywnie, bo usiadła koło mnie i przymilnie popatrzyła mi w oczy. Wtedy zobaczyłem, że jedno oko ma migdałowe, a drugie niebieskie. Zdziwiłem się, ale to się przecież zdarza, także u ludzi. Zapytałem, jak ma na imię, ale tylko się wyszczerzyła, ukazując garnitur białych, ostrych ząbków. – Co, nie chcesz powiedzieć? Pomogę ci: Baśka? Lula?... Wymieniłem jeszcze parę popularnych imion; zero reakcji. Może głucha? – Rozumiem, że się zagubiłaś, to duże miasto, ale zanim zaczną cię szukać, minie trochę czasu, możesz tu zostać, tylko muszę cię jakoś nazwać, na przykład... Alba, bo jesteś taka... „śnieżna blondynka” – zażartowałem. – Co ty na to? Wyszczrzyła się znowu, co chyba oznaczało zgodę.

Włączyłem telewizor i usiadłem wygodnie na kanapie. Może w Kurierze coś będzie na temat mego gościa? Alba usiadła koło mnie, razem gapiliśmy się na wiadomości. Przytuliła swoją zmierzwioną i jeszcze mokrą czuprynę do mojego ramienia i zalotnie patrzyła mi w oczy. Telewizja jej nie interesowała. – Hej, ty mała – pogroziłem jej palcem – nie podrywaj nieznanomych facetów, przecież dopiero co się poznaliśmy! – Ale ona rzuciła się na mnie i zaczęła mnie całować. Z jęczyzkiem. Zdenerwowałem się, bo tego rodzaju zalotów nie lubię. Obsobaczyłem ją solidnie. Obraziła się

na mnie i poszła w kąt jak zbity pies; przez resztę wieczoru już mi się nie naprzykrzała. Potem poszliśmy spać: Alba na kanapie w pokoju, ja w gabinecie.

Rano troszkę zasnęłam, w sprinterskim tempie szykowałam się do pracy; Alby nigdzie nie było. Czyżby mi się przyśniła? Gdy już zbierałam się do wyjścia, wyszła z kuchni. A przysięgłbym, że jej tam nie było! Powiedziałam, że wychodzę i parę godzin będzie sama, że ma się grzecznie zachowywać i żadnych gości, zwłaszcza płci męskiej.

– A jedzenie znajdziesz w kuchni, rozumiałaś? – Udawała, że nie słucha (wciąż była obrażona); z udanym zainteresowaniem gapiała się na muchę latającą po ścianie. Wyszedłam, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W pracy jednak nie mogłam się skupić, ciągle myślałam o swoim gościu, co zauważyła także Anita, szefowa mojego działu. – Oj, chyba się nie wypałeś albo jesteś zakochany! – żartowała. Nawet nie wiedziała, jak była blisko prawdy. Przez resztę dnia byłem przedmiotem kpinek żeńskiej części mego działu. Bo ja tam byłem rodzyńkiem. Niektóre przychodziły specjalnie, aby pożartować sobie moim kosztem. Ich perfumy o mało mnie nie udusiły. Toteż wróciłem do domu najszybciej, jak mogłem.

W pierwszej chwili Alba zachowała się jak każda stęskniona samka: rzuciła się na mnie, aby się przywitać i... odskoczyła jak oparzona. Popatrzyła na mnie z wyrzutem. Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Wykąpałem się i dopiero wtedy wróciłem do jej łask. Zrozumiałem: to te perfumy; Alba była zazdrosna!

Mijały dni, Alba zadomowiła się u mnie; nikt jej nie szukał. Chyba się polubiliśmy. I często chodziliśmy na spacer, bo ona to uwielbiała... Raz w parku spotkałem sąsiada, też był z towarzyszką. Sąsiad pracuje na giełdzie, wdaliśmy się więc w rozmowę na wiadomy temat. One też zajęły się chyba plotkami, bo jakiś czas mieliśmy spokój. Kiedy jednak towarzyszka sąsiada przez pomyłkę usiadła koło mnie, Alba warknęła na nią i złapała ją za czarne kudły. Musieliśmy interweniować. To wielka zazdrośnica, nie toleruje żadnej kobiety w moim towarzystwie! Sąsiadki, która chciała pożyczyć soli, o mało co nie poturbowała, aż biedna kobieta obraziła się na mnie i nie odpowiadała na moje powitania.

Przyszła zima, a potem przedwiośnie, zimne i mokre. Złapałem grypę i leżałem w łóżku; Alba niemiłosiernie się nudziła. Znalazła mój album ze zdjęciami i wykasowała wszystkie, na których były jakieś baby. Szczególnie uwzięła się na te fotki, na których byłem ja z Alicją, moją byłą żoną. Na tych zdjęciach moja eks-małżonka miała pourywane głowę i nogi lub cała była wycięta. Można powiedzieć, że Alba **wygryzła** ją, dosłownie i w przenośni z mojego życia!

Ponieważ moja rekonwalescencja się przedłużała i nie mogłem chodzić z nią na spacer, poprosiłem kuzyna o pomoc. Nie miał wiele czasu, ale wpadał na godzinkę i wychodził z Albą. Chyba się zaprzyjaźnili. Postarałem się tak skoordynować wizyty pielęgniarki, która robiła mi zastrzyki, aby Alby w tym czasie nie było w domu: obie serdecznie się nie znosiły. Kobieta używała ostrych, tanich perfum! Alba dostawała szału, bo ten zapach unosił się w powietrzu jeszcze długo po wyjściu pielęgniarki.

Któregoś dnia obudziłem się w lepszej formie. Za oknem padał wiosenny deszcz. Tylko Alby nigdzie nie było; obszukałem całe mieszkanie – ani śladu! Wtedy zobaczyłem, że drzwi na korytarz nie były zamknięte. Widocznie po wyjściu pielęgniarki zapomniałem je zamknąć. Alba zniknęła, chyba zwyczajnie sobie poszła. I do tego zabrała mój parasol. To zrozumiałe, że nie na pamiątkę, padał przecież deszcz. Czekałem do wieczora, ale nie wróciła... Dałem ogłoszenie: „Zaginęła biała pudelka, wabi się... Wysoka nagroda”. I telefon, który w dniu ukazania się anonsu rozdzwonił się. Mnóstwo osób dopytywało się o nagrodę. Z paroma umówiłem się w domu. Kiedy otworzyłem drzwi pierwszemu „znalazcy”, zdrewniałem: korytarz zamienił się w poczekalnię do lecznicy dla zwierząt. Kłębił się tam tłum ludzi i psów, ale Alby wśród nich nie było. Pierwszy był nieogolony typ z czerwonym nosem: – Pan szanowny szukał pieska? – wychrypiał, miotając mi w nos pijackie wyziewy. Zatrzasnąłem drzwi, warknąwszy przedtem, że dziękuję, piesek się już odnalazł, co oczywiście nie było prawdą. Mimo to swą nagle rozbudzoną miłość do zwierząt przypłaciłem ciężkim rozstrojem nerwowym, bo przez parę dni pod moimi drzwiami koczowali „uczciwi znalazcy”. Doszło do burd, aż dozorca musiał

wezwać policję, a do mnie pogotowie. I znalazłem się w szpitalu dla nerwowo chorych. Gdy szedłem do karetki w kaftanie, zza drzwi wyjrzała sąsiadka. Jej szydercze spojrzenie mówiło: „A dobrze ci tak, ty psiarzu!”. Po jakimś czasie doszedłem do siebie, ale straciłem pracę i w ogóle... A, co tam, byle się odnalazła moja Alba. Kochani, tą drogą apeluję do was: jeśli ktoś z was widział...